

Jan Podoski **Zbyt
ciekawe
Czasy**



Wydawnictwa Komunikacji i Łączności
Warszawa 1991

1939 roku zmieniałem pracę i miejsce zamieszkania. Po rozwodzie byłem samotny i pełen chęci do mojej nowej pracy. A problem był niełatwy, tym bardziej, że zatrzymałem sobie półetatową asystenturę na Politechnice Warszawskiej, gdzie od paru lat prowadziłem prace dyplomowe z trakeji elektrycznej i musiałem co tydzień być w Warszawie.

W krótkim czasie fabryka zmieniła nazwę na Bydgoskie Zakłady Przemysłowe S.A. Okazało się, że współdziaławcami inżyniera Gostewskiego byli pisarz Janusz Makarczyk i jego piękna małżonka. Pozostało dla mnie tajemnicą w jaki sposób stali się oni współwłaścicielami sporych zakładów, które — chociaż prawie niczyjne — liczyły blisko 200 obrabiarek z kosztownymi młotami i automatami, sporymi zasobami surowca i znacznym kapitałem w banku. Również nie wiem, co skłoniło szwedzką AGA do wejścia do spółki i do interesowania się rozwojem zakładu w Polsce. Szwedzi mieli dostarczyć dokumentację do rozpoczęcia produkcji wielu wyrobów, przede wszystkim aparatów radiowych. Prowadziłem rozmowy o produkcji telewizorów, które zaczęły pojawiać się na Zachodzie.

Byliśmy najlepszej myśli, że Bydgoskie Zakłady Przemysłowe staną się wkrótce jednym z wiodących przedsiębiorstw w naszym kraju. Kryzys gospodarczy, który dręczył nas przez ubiegłe lata mijał i wszyscy mocno wierzyliśmy, że w ciągu najbliższych paru lat powróci do naszego kraju dobrobyt, zniknie widmo bezrobocia, a nawet ucichną, a przynajmniej osłabną walki polityczne.

Wrzesień 1939

W maju 1939 roku minister spraw zagranicznych, pułkownik Józef Beck, wygłosił w Sejmie przemówienie, w którym ujawnił agresywne zamiary Hitlera wobec Polski, objawiające się żądaniem eksterytorialnego pasa w poprzek korytarza polskiego, oddzielającego Niemcy od Prus Wschodnich, przyłączenia Gdańska do Rzeszy i innych żądań o charakterze politycznym.

Mало kto w Polsce wierzył jednak w możliwość wybuchu wojny. Sycono nas wiadomościami o słabości armii niemieckiej, o czolgach-makietach, o sporach pomiędzy Hitlerem a dowódcą twem Werhmachtu. Jednocześnie wyolbrzymiano nasze siły i nowoczesność naszej armii. Chodziły plotki o olbrzymich zapasach broni, o potężnym lotnictwie i gotowości do odparcia każdej agresji.

Słynne było przemówienie Głównego Inspektora Sił Zbrojnych, tj. naczelnego wodza na wypadek wojny, marszałka Rydzas-Śmigłego, że nie oddamy ani guzika.

W moich staraniach o skreślenie Bydgoskich Zakładów z „czarnej listy” zacząłem brać udział w przetargach na sprzęt dla wojska. Mogłem sobie pozwolić na konkurencyjne oferty, ponieważ maszyny stały nie wykorzystane, miałem zapasy surowca i dobrą załogę. Był maj 1939 roku, gdy wygrałem kolejno dwa przetargi: na dostawę głowic do bomb lotniczych i na budowę platform do przewożenia 17-tonowych czolgów. Radość trwała jednak krótko, gdy dowiedziałem się o wielkości tych zamówień. Chodziło o 508 czy 510 głowic do bomb 25-kilogramowych i o 27 doczep

z terminem dostawy... za dwa lata. Zamówienie przyjąłem, ale uświadomiłem sobie, że nie musi być dobrze z naszą gotowością, jeśli centralne zlecenie obejmuje liczbę bomb, które starczyłyby na jeden dobry nalot, a przyczepę na przewóz jednego batalionu czołgów.

Już wówczas zdałem sobie sprawę, że w tych warunkach długo bronić się nie będziemy. W moich prywatnych rozmowach oceniałem, że nasza kampania nie ma szans na dłużej niż 6 tygodni. W tym czasie ogłoszono, że oprócz paktu o wzajemnej pomocy z Francją i Rumunią, zawarty został analogiczny z Wielką Brytanią. Podniosło to nas wszystkich na duchu.

Tymczasem kraj z wolna przygotowywał się do wojny. Nie zwolniono rezerwistów kończących w lecie służbę wojskową, zorganizowano ćwiczenia pozorowanych nalotów. Byłem nawet rozjemcą w jednych takich ćwiczeniach dla Warszawy. Wybuchy bomb lotniczych pozorowano petardami, a gazy trujące — dymami. Działy patrolowe sanitarne, straż pożarna i pogotowie ludności. Wyglądało to pięknie, ale jakoś mało przekonująco.

Obracałem się w tym czasie w towarzystwie młodych architektów, muzyków i kompozytorów muzyki współczesnej. Nie wierzyli absolutnie w żadną wojnę, a służbę wojskową uważali za stratę czasu, a tych, którzy jak Staś Jankowski czy Jurek Hryniewiczki ukończyli podchorążówkę, uważali za zacofanych patriotów. W tych kołach panowały przekonania bliskie komunizmowi, wskutek czego wierzono bezgranicznie w Związek Radziecki, który odstraszy Hitlera od jakis nowych prób agresji.

W końcu lipca wezwał mnie do siebie starosta bydgoski pan Suski (Bydgoszcz była wówczas tylko miastem powiatowym) i zażądał, abym do fabryki przyjął 4 żołnierzy dezertersów z Wehrmachtu. Na nic były tłumaczenia, że fabryka produkuje dla wojska że ci „dezertery” mogą się łatwo okazać dywersantami. Otrzymałem krótką odpowiedź, że jest to rozkaz władz wojskowych, który mam wykonać bez dyskusji. Dezertery byli chłopami na schwał, żaden z nich nie mówił po polsku i żaden nie miał jakiegokolwiek fachu. Co było robić. Przyjąłem. Tuż przed wybuchem działań wojennych wszyscy czterej zniknęli i więcej o nich nie słyszałem. Takie to dziwne działy się w tym czasie.

Na początku sierpnia nastąpiło pewne uspokojenie. Kiedy obejmowałem przedsiębiorstwo moim zastępcą w fabryce został

polSKI Niemiec, o nazwisku Hennig, wysmienity fachowiec, do mego przyjścia — kierownik zakładów. Pewnego dnia nasze władze bezpieczeństwa każały mi zwolnić go bez wypowiedzenia, co kosztowało nas chyba 25 tysięcy złotych, ponieważ po objęciu fabryki zawarłem z Hennigiem 2-letni kontrakt. Na jego miejsce przedstawił II Oddziału Sztabu poprosił mnie o przyjęcie do pracy pana Wintera, spalonego pracownika tej instytucji. Musiałem dbać o dobre stosunki z władzami, więc przyjąłem.

Winter okazał się miłym współpracownikiem, bez jakiegokolwiek wiadomości fachowych. Znosił mi natomiast różne ploteczki i wiadomości „z góry”. Kategorycznie twierdził, że o konflikcie zbrojnym nie ma mowy.

Byłem bardzo zmęczony intensywną pracą nad „moimi” zakładami i za zgodą rady nadzorczej zdecydowałem się na kilkutygodniowy urlop. W tym okresie brałem udział w paru rajdach samochodowych, toteż tyśiąckilometrowa podróż autem pod Konstancę w Rumunii nie stanowiła dla mnie problemu. Upewniłem się jednak, że w razie potrzeby będę odwołany telegraficznie przez Wintera.

Pewnego dnia, chyba 26 sierpnia, odcyfrowałem w rumuńskiej gazecie tytuł: „Pactul Sovietilor”. Poczulem, że coś się dzieje i pojechałem do Konstancy, do naszego konsula. Upřednio konsul przyrzekł mi, że się ze mną skontaktuje gdyby coś się działo.

Konsulat był zamknięty, a personel wyjechał do Polski. Niewiele więc myśląc wsiadłem do auta i po piekielnej podróży po nie utwardzonej, tłuczeniowej drodze, ze zdartymi do płótna oponami dojechałem do polskiej granicy w niedzielę 27 sierpnia. Panował spokój. Celnicy byli w kościele na nabożeństwie i musiałem czekać na ich powrót.

We Lwowie zobaczyłem jednak przygotowania wojenne. Karabiny maszynowe na dachach, worki z piaskiem przed budynkami i pogotowie, choć panów w melonikach, których pamiętałem z 1920 roku, nie widziałem. Po 19 latach byli już zapewne dziadkami. Pomimo niedzieli udało mi się kupić nowe opony i wieczorem dojechałem do Warszawy.

Na drugi dzień byłem już w Bydgoszczy. Wintera nie zastałem i nigdy go więcej nie widziałem. Jakoby telegrafował do mnie parokrotnie wzywając do powrotu. Do fabryki sypały się zamówienia „na dziś” — jakieś kłapy do bunkrów, wsporniki do

czegoś tam i moc innych, a tymczasem połowa pracowników była już zmobilizowana. Jak pisałem — po moich czterech Niemcach nie było ani śladu.

Przezornie wziąłem z banku do kasy większą gotówkę i zacząłem szukać ewentualnych pracowników, którzy mogliby zastąpić zmobilizowanych. Nie trwało to długo. 29, 30 i 31 sierpnia minęły jak błyskawica, a od świtu 1 września wiedzieliśmy, że wybuchła wojna. Pierwszego i drugiego września nie działo się nic. Pamiętam, że byłem w kinie na filmie „Dyktator” — parodia Hitlera (za który zresztą niedługo po zajęciu Bydgoszczy kierownik kina Niemcy rozstrzelali), a potem na dancingu w hotelu „Pod Orłem”. Większość mężczyzn była już w mundurach, ja wciąż po cywilnemu, ponieważ moja karta mobilizacyjna miała czerwoną kreskę — mobilizacja w drugiej kolejności.

Rankiem 3 września dowiedziałem się, że rozklejone są ogłoszenia o mobilizacji drugiego rzutu. Miałem kartę powołania do Warszawy, więc nałożyłem mundur, przypiąłem pistolet i pojechałem do zakładów, aby zamknąć je na czas działań wojennych. Wyplaciłem pracownikom pobyry i kazałem wywieźć odpowiednią tablicę na bramie. Podejrzewam, że to było jedyne polskie przedsiębiorstwo formalnie zamknięte na czas wojny.

W mieście słychać było daleki huk dział, a nad miastem przeleciało parę samolotów niemieckich, do których nikt nie strzelał. Natomiast w mieście zaczęły rozlegać się coraz gęściej strzały karabinowe, przechodzące w nieustający niemal ogień.

Była 11 godzina, 3 września. Zabrałem do auta kilkadziesiąt kilogramów ważnych dokumentów, chyba 30 tysięcy złotych, pozostałych po wypłaceniu poborów i pojechałem z ul. Grunwaldzkiej do śródmieścia do komendy miasta. Przed komendą zastałem grupki żołnierzy z bronią i ekwipunkiem, a w budynku siedział tylko jakiś major i chorąży (pamiętam nazwisko — Kozłowski, rezerwista tak jak i ja).

Po ulicach przejeżdżały galopem jakieś wozy taborowe biegli żołnierze. Strzały nie milkły, wyglądało że są to strzały z okien czy z dachów. Dochodziło potudnie.

Po naradzie z majorem zabrałem do samochodu trzech żołnierzy i — traktując mego Citroena jako samochód pancerny — wyruszyliśmy do starostwa. Budynek był pusty, drzwi pootwierane, papiery walały się po podłogach. To samo w komendzie policji

Na chodnikach ludność cywilna, mężczyźni wołający o broń dla unieszkodliwienia niemieckich dywersantów. Zaczęto mi wskazywać na wieżę kościoła ewangelickiego: „Stamtąd strzela karabin maszynowy, już kilku ludzi zabił”. Pojechalśmy tam. Rzeczywiście na trawniku przed kościołem leżały zwłoki kaprała polskiego i chyba jeszcze jakiegoś szeregowca. Kościół był otwarty. Z moimi żołnierzami weszliśmy do środka z bronią gotową do strzału. Cisza. W tym momencie przyszła mi do głowy dziwna myśl: czy wchodząc do świątyni, w której spodziewam się walki, mam zdejść nakrycie głowy? Nie zdejąłem, nie było czasu. Skierowaliśmy się ku schodom wiodącym na wieżę. I tu drzwi były otwarte. Musiałem powziąć decyzję. Było cicho i głucho. Pastor zniknął, zagrożenie trwało. Zaczęliśmy wchodzić na wieżę. Najpierw był pistolet z moją bardzo wydłużoną ręką, potem ja, potem dwóch strzelców. Wyładowaliśmy na płycie pierwszej kondygnacji. Pustka. Podłoga pokryta kurzem — chyba nikogo tu dawno nie było. Ale, ale. Na podłodze leżał nowiutki polski zapalnik od pocisku działowego. Zapalnik wziąłem do kieszeni i zaczęliśmy wspinać się dalej. Doszlismy na szczyt i tu także nikogo nie znaleźliśmy.

Pozostało dla mnie dotąd zagadką, skąd na wieży znalazł się polski zapalnik, no i kto zabił polskich żołnierzy. Zeszliśmy z wieży i zaczęliśmy jeździć po mieście szukając wrogów. Ludność wszędzie nam pomagała. Bydgoszcz była przecież tak bardzo polskim miastem (według statystyk ludność niemiecka stanowiła 6,3%). Przy komendzie miasta gromadziło się coraz więcej żołnierzy z rozbitych gdzieś pod Bydgoszczą jednostek. Ludność z żołnierzami sprowadzała wciąż mężczyzn, którzy jakoby mieli strzelać do wojska z okien i z dachów. Gromadzono ich na podwórzu komendy. Było ich chyba około setki. Pilnowali ich żołnierze. Poleciłem trochę na widzimisię zrewidować niektórych. Jedynym wynikiem był arkusz mapy rejonu Bydgoszczy. Wszyscy przysięgali o swojej niewinności.

Panika w mieście stopniowo się uspokajała. Gdzieś koło godziny 13 pojawiły się kolumnienki żołnierzy z baonu zapasowego jednego z pułków piechoty, którego koszary mieściły się na północno-wschodnich peryferiach (przy obecnej drodze E-83, na przedłużeniu al. 1 Maja). Wkrótce zjawił się dowódca kompanii.

Strzały ucichły już od godziny i życie zaczynało powracać do normy, choć — o ile pamiętam — tramwaje nie kursowały.

Dowódca kompani zaczął z Komendy Miasta wysyłać patrole do dzielnic peryferyjnych.

Doszedłem do wniosku, że nie jestem już potrzebny. Poszedłem do restauracji, zjadłem normalny obiad i gdzieś koło 14.30 pojechałem do Warszawy, nabrawszy benzyny na czynnej naddal stacji benzynowej. Jechałem na Inowrocław, bo słyszałem, że trasa na Toruń jest już odcięta. Tuż za miastem, na wzgórzach na południe od Szwedzkiej spotkałem tyralierę policji bydgoskiej powracającej do miasta. Droga sunął w tę samą stronę samochód starosty, pana Suskiego. Uspokoiłem go, że w chwili obecnej nie ani policji, ani jemu w mieście nie grozi. Nie wiem, czy i kiedy wrócili do miasta i czy i kiedy udało im się Bydgoszcz ponownie opuścić przed zajęciem miasta przez Niemców w 48 godzin później.

Pozostaje dla mnie nadal tajemnicą sprawa tzw. „Krwawej Niedzieli”. Według propagandy niemieckiej ludność polska wspólnie z wojskiem zorganizowała w tę niedzielę rzeź Niemców w Bydgoszczy. Represje niemieckie na ludności polskiej były jakoby odwetem za tę niedzielę. Nie mam pojęcia, co działo się w Bydgoszczy tego dnia po godzinie 15, ale twierdzę, że do tego czasu panował w śródmieściu spokój, nikogo nie mordowano, do opuszczonego miasta wracała policja i władze. Nie byłem na dalekich peryferiach, ale mam wrażenie, że i tam nie było żadnej rzezi i samosądów. Natomiast poprzedniego dnia, tj. w sobotę 2 września, widziałem prowadzoną przez miasto kolumnę paruset osób cywilnych, otoczonych przez policję, maszerującą w kierunku na Toruń. Nie wiem kim byli zatrzymani, ani dokąd i po co ich prowadzono, a tym bardziej, co się z nimi stało. Nie wykluczam, że byli to dywersanci niemieccy, pochodzący z rejonów gdzie toczyły się walki, ale na pewno nie pochodzili z Bydgoszczy.

I jeszcze jeden szczegół, wskazujący, jak bardzo rozbieżne i wypaczone były wiadomości o bydgoskiej „Krwawej Niedzieli”, której według mnie w ogóle nie było. W Bydgoszczy mieszkałem w pobliżu al. Mickiewicza. Kiedy znalazłem się po kampanii sprawozdanie z kampanii wrześniowej. Napisałem w nim między innymi o wypadkach w Bydgoszczy. Wówczas pokazano mi sprawozdanie, zdaje się prezesa Związku Powstańców Wielkopolskich w Bydgoszczy czy pokrewnej organizacji, opisujące bitwę jaką stoczył jego oddział rankiem 3 września z dywersantami

niemieckimi w pobliżu ul. 20 Stycznia, a więc ulicy przy której mieszkałem. Byłem chyba głuchy, bo nic nie słyszałem, i ślepy ponieważ nic nie zauważyłem wychodząc z domu rankiem tego dnia. Wydaje mi się, że ten fragment kampanii wrześniowej w Polsce wymaga wyjaśnienia: była czy nie była „Krwawa Niedziela” w Bydgoszczy?

Pojechałem do Warszawy. Po drodze widziałem parę płonących miast, ale w Warszawie pomimo częstych nalotów życie toczyło się niemal normalnie. Ulica nie przejmowała się zbyt wiele zapowiedziami radiowymi: „Uwaga, uwaga nadchodzi”, po czym podawane były jakieś liczby. Na niebie pojawiały się jeszcze niekiedy polskie samoloty, a wypowiedzenie wojny przez Wielką Brytanię spowodowało spontaniczną manifestację, podczas której tłumy zajęły nie tylko całą ulicę Smolną, przy której mieściła się ambasada brytyjska, ale i Nowy Świat. Tramwaje kursowały w mieście normalnie, a tylko w nocy obowiązywało zaciemnienie — zresztą mało skuteczne.

Pożegnałem się z rodziną. Samochód, dokumentację i pieniądze Bydgoskich Zakładów przekazałem jednemu osiagalnemu członkowi rady nadzorczej pani Makarczykowej. Jej mąż — Janusz Makarczyk był już zmobilizowany i dowodził baterią przeciwlotniczą, a o dyrektorze Gostewskim nie było żadnych wieści.

Zgłosiłem się do koszar na Pradze przy ul. 11 Listopada, dokąd miałem kartę mobilizacyjną, i dowiedziałem się, że jestem zastępcą komendanta 13 Warsztatów Uzbrojenia Armii. Zgodnie z planem mobilizacyjnym, na tyłach każdej armii miał się znajdować pociąg-warsztat dla naprawy uszkodzonego sprzętu. Każda taka jednostka miała mieć polową elektrownię, zapas części zamiennych, spawalnię, warsztat mechaniczny wyposażony w obrabiarki, no i kuchnię polową z zapasami żywności oraz wagony mieszkalne. O ile pamiętam, na bocznicach zestawiano co najmniej pięć takich pociągów.

Załoga każdego pociągu, licząca blisko 200 ludzi, składała się ze zmobilizowanych rezerwistów — rzemieślników, przeważnie Żydów z Radomia i okolic, a kadre stanowiło kilkunastu podoficerów i czterech oficerów. Moim dowódcą był kapitan zawodowy, oficer uzbrojenia, którego nazwiska nie pamiętam. Pociągi nie były niestety jeszcze zestawione w skład. Wagony stały

grupami: razem 5 elektrowni, 5 kuchni, 5 spawarek i miały być dopiero rozdzielane na kompletne pociągi. Tymczasem rezerwiści otrzymywali mundury i wyposażenie, a ja usiłowałem dowiedzieć się, co taki pociąg ma robić i jak będzie broniony od nalotów, które koncentrowały się właśnie na pociągach, stacjach i węzłach kolejowych. Niestety, nikt tego nie wiedział.

Po kilku dniach zaczęły się naloty na dworce warszawskie. Rosły straty. W pewnym momencie otrzymaliśmy rozkaz natychmiastowego odjazdu wszystkich pociągów. Zajeżdżały parowozy i wyciągnęły wagony tak jak stały — grupami. Mój oddział został załadowany na jeden z takich pociągów i chyba 9 września ruszyliśmy w kierunku Dębina, gdzie mieliśmy otrzymać dalsze rozkazy.

Posuwaliśmy się w kolumnie pociągów, sunących jeden za drugim z prędkością kilku kilometrów na godzinę, z długimi przystankami. Obok nas wędrowały szosą masy przeważnie młodych ludzi, którzy na rozkaz radiowy pułkownika Umiaszowskiego opuszczali stolicę i mieli zgłaszać się do punktów zbornych w bliżej nie ustalonych miejscach. Ciągnęły furmanki, samochody, gdzieś niedługo autobus.

Zacząłem zapoznawać się z „moim” pociągiem i ogarnęło mnie przerażenie. Mieliśmy pięć wagonów-kuchni, ale bez żywności, pięć spawalni bez elektryczności, parę wagonów załadowanych karabinami maszynowymi bez amunicji, jedno uszkodzone działo na platformie i moc części zamiennych. Pamiętam, że w jednym z wagonów natrafiłem na skrzynię wspianiałych lornetek artylerijskich, z których jedną wziąłem na własne wyposażenie, wkładając nawiądnę do skrzyni pokwitowanie.

Cały nasz pociąg składał się z nowiutkich wagonów o charakterystycznych wypukłych dachach, pokrytych popielatą papą. Nie mam wątpliwości, że z powietrza wyglądały na wagony pociągu pancernego. Zapewne to samo myśleli Niemcy, ponieważ zaczęła nas regularnie nękać Luftwaffe. Jak w zegarku mieliśmy jeden nalot rano, jeden w południe i jeden przed zachodem słońca. Bomby były na ogół niecelne, ale i tak codziennie traciłimy parę wagonów i wciąż musieliśmy naprawiać zerwane tory. Patrząc ze łzą w oku na bezużyteczne spawalnie, piłowaliśmy szyny bombardowanych torów ręcznymi piłami i przywracaliśmy ruch na linii. Stracił przyspieszał tę pozornie niewykonalną robotę. Po paru dniach

gdzieś w rejonie Garwolina, mój kapitan oświadczył, że sytuacja jest nie do utrzymania i że postanowił opuścić pociąg wraz z załogą i maszerować pieszo na wschód. Zaprotestowałem. Kapitan szybko podjął decyzję: zostawia mi część załogi i podporucznika, a sam zabiera około 150 ludzi i maszeruje na Łuków, gdzie będzie czekać na mój pociąg, który mam z Dębina skierować na tę stację. Kolumna wyruszyła i nigdy ich więcej nie widziałem, ani o nich nie słyszałem.

Zostało nas czterdziestu kilku. Wleliśmy się dalej. Do nalotów przywykliśmy, tylko pociąg nasz kurczył się stopniowo, bo uszkodzone wagony spychaliśmy z torów. Udało mi się zdobyć jedną tasmę amunicji i uruchomiłimy jeden CKM z posiadanych zapasów. Zato zaczęło być głodno. W zbombardowanym Dęblinie nikt nie pytał dokąd nas skierować a po prostu wszystkie pociągi wyprawiano szybko do Lublina, do którego dobrnęliśmy 13 czy 14 września.

Ruszyłem do śródmieścia po rozkazy, ale miasto było po nalocie i w komendzie miasta nikt nic nie wiedział. Za to powiedziano mi, że na stacji są wielkie składnice żywności, i że tam mogę się zaopatrzyć. Pomanewrowaliśmy naszym pociągiem, wjechałimy na jakąś bocznice i załadowaliśmy prawie cały wagon chleba. W tym momencie zaczął się nalot na dworzec i pociągi stojące na stacji zostały zbombardowane. Nam na bocznicy nic się nie stało, ale o dalszym załadunku nie było już mowy.

Skierowano nas na Kowel. Tam w komendzie miasta zameldowałem, że mam cały wagon karabinów maszynowych. Na wiadomość jednak, że nie mam do nich amunicji kazano jak najszybciej opuścić stację, bo miasto przygotowuje się do obrony. Uprzedzono, że możemy oczekiwać Niemców również od północy, ponieważ zajęli już Brześć.

Stacje wodne były od dawna zbombardowane, więc wodę do parowozu nabieraliśmy wiadrami z rzeczek po drodze. Ponieważ tender mieści około 20 ton wody, a wiadro 10 kg, łatwo obliczyć, co to była za praca. Ale na tym nie koniec. Węgla też nam się skończył. Braliśmy więc z lasu sęgi drzewa i parowóz opalaliśmy drzewem.

Nasz pociąg skierowano na Łuck. Wleliśmy się po kilka kilometrów dziennie, naloty nie ustawały. Zostało nam może 10 wagonów, ale parowóz był cały. Maszynista z pomocnikiem chcieli

opuszczyć pociąg, ale poczucie obowiązku wzięło górę i zostali do końca. Na noc ustawiałem placówkę CKM z jedną taśmą amunicji, ale nikt nas nie atakował. Za to jeden z nalotów, chyba 15 września, był szczególnie dotkliwy. Moje wojsko wyskoczyło do lasu. Ja pozostawałem zwykle w pociągu, nie z bohaterstwa, ale dla uniknięcia paniki, do której mogło łatwo dojść, bo mój porucznik bał się chorobliwie i dawał przykłąd rwąc z pociągu jak zając na odgłos silników lotniczych. Tym razem jakaś siła zmusiła i mnie do ucieczki. Padłem w rowie przy torach. Lotnicy lecili bardzo nisko, rzucali lekkie bomby, a poza tym ostrzelali z CKM nie tylko pociąg ale i las. Skutki były fatalne. Zginęło paru ludzi, a jednego z urwanymi stopami zamieśliśmy do pobliskich chałup. Oczywiście nie mieliśmy żadnych środków sanitarnych, a opatrunki indywidualne były dawno wykorzystane. Kiedy wróciłem do mego wagonu, zastałem całkowitą ruinę. Mój płaszcz, mundur, buty i bielizna były w strzępach, a w notesie nad którym siedziałem i robiłem przed nalotem notatki, kula CKM wywierciła pośrodku dziurę. Mundurów i butów mieliśmy po dostatkim, więc od tego czasu paradowałem w płaszczu i butach szeregowego. Przydało mi się to zresztą po kilku dniach.

Tory były całkowicie zapchane pociągami. Przed nami posuwał się batalion balonowy z Torunia, za nami szpital polowy. 16 września naloty nagle ustały. Staliśmy zablokowani na torach gdzieś w rejonie stacji Rożyszcze. Żywiliśmy się zapasami chleba, którego część oddałem wędrującym wzdłuż torów uchodźcom. Ogarnęło nas dziwne uczucie, zaczęliśmy wprost tęsknić za nami, które dowodziły, że wojna trwa dalej.

Po dwóch dniach takiego oczekiwania postyszyliśmy huk silników. Zaczyna się, pomyśleliśmy z dziwną ulgą. Nadciął nisko trzy samoloty, ale przeleciały bez strzału. Na skrzydłach zamiast swastyk zobaczyliśmy ze zdziwieniem czerwone gwiazdy. Czyżby Armia Czerwona ruszyła nam na pomoc?

Naradziłem się z moimi sąsiadami. Lotnicy dali mi motocykl z kierownicą i postanowiliśmy, że pojedą do pobliskiego Łucka z wiadomości. Na drodze leżały ulotki. Jedną z nich podniosłem. Była to odezwa Mołotowa do ludu pracującego, stwierdzająca, że Pańska Polska już nie istnieje i że Armia Czerwona wkrocza z pomocą ludowi swobodę i wygnać Panów. W tym stanie napięcia w jakim się wówczas wszyscy znajdowaliśmy, przyjąłem odezwy obojętnie i pojechałem dalej.

W Łucku kottowało się. Na rynku spotykały się potoki ludzi z obu kierunków. Jedni uciekali na wschód, drudzy na zachód. Widok był przerażający. W komendzie miasta znalazłem jakiegoś majora. Była to pierwsza władza, która od wyjazdu z Warszawy dała mi jakies instrukcje. Major powiedział, że Armia Czerwona wkroczyła jako nasz przymusowy sojusznik. Nie należy z nią walczyć, jeżeli oni sami nie zaczną.

Wróciłem z tą wiadomością i z ulotką. Nasze pociągi były nadal zablokowane. Pojawiać się nagle zaczęli uzbrojeni cywile z czerwonymi opaskami. Padło kilka strzałów. Nachodzili wieczór. Nie wiedziliśmy czy Armia Radziecka wkrocza aby walczyć z Niemcami, czy z nami. To ostatnie wydawało mi się bardziej prawdopodobne.

Pociąg był z obu stron zablokowany, więc doszedłem do wniosku, że trzeba decydować się na jego opuszczenie i szukać jakiś walczących oddziałów polskich, które chyba trzymały się gdzieś na zachód od nas. Znałem dobrze rejon Włodzimierza Wołyńskiego, do którego mieliśmy, jak oceniałem, 70–80 km. Jedyną mapą jaką miałem był plan linii kolejowych z rozkładu jazdy, ale liczyłem, że do Włodzimierza dojrzymy pieszo w ciągu 2–3 dni, a może nocy, intensywnego marszu. Potem się zobaczy. Po namyśle zebrałem moje wojsko i rozdzieliłem wszystkie pieniądze jakie zostawił mi kapitan przed opuszczeniem pociągu. Wypadło zdaje się po 100 czy 200 złotych na osobę. Była to w owym czasie jeszcze poważna suma. Powiedziałem, że chcę przedostać się na zachód, a potem do Lwowa, ale moim wojskom radzę rozplynąć się w terenie i wracać do domu. Żołnierze byli wstrząśnięci, ale rozumieli beznadziejność położenia. Natomiast podoficerowie oświadczyli, że decydują się na wędrowkę ze mną. Było na pięciu — trzech podoficerów, inżynier Czarlinski, mój kolega z Bydgoszczy, który dołączył do nas któregoś dnia spośród uchodźców, maszerujących wzdłuż torów, no i ja.

Od wschodu lewym torem podjechał do naszych pociągów radziecki pociąg pancerny i oświetlił nas reflektorami. Byliśmy wprawdzie mało widoczni za pociągiem stojącym przed nami, ale sytuacja mogła być niebezpieczna. Zdecydowałem się na wymarsz. Próbowaliśmy przedtem podpalić nasz pociąg, ale świeże siano, parę siennek i zapalki nie wystarczyły i daliśmy spokój.

Zaloga pociągu już rozplynęła się w ciemnościach, a nasza piątka z chlebakami u boku i z pistoletami gotowymi do strzału ruszyła, kierując się na zachód. Mielśmy do utrzymania kierunku tylko Wielką Niedźwiedzicę. Trochę to było mało w zupełnie nieznanym terenie, bez mapy.

W naszym marszu trafialiśmy wciąż na przeszkody. Uformowana na poczekaniu czerwona milicja zaczęła nas w ciemności ostrzeliwać. My też odpowiadaliśmy ogniem, zapewne równie skutecznym w panujących egipskich ciemnościach.

Brnęliśmy przed siebie na przelaj polami, aby dalej od skutecznym w panujących egipskich ciemnościach. Brnęliśmy przed siebie na przelaj polami, aby dalej od torów. Po paru godzinach natknęliśmy się na jakąś artylerię. Była to zapewne szosa Łuck — Włodzimierz. Sunęły po niej niekończące się oddziały radzieckie. Leżeliśmy w rowie i oglądaliśmy my czołgi, zaprzęgi konne i masę piechoty, która w świetle reflektorów przejeżdżających aut przedstawiała się wyjątkowo nędznie. Wyglądało to bardziej na wędrowną ludów, niż na regularne wojsko.

W chwili jakiejś przerwy przeskoczyliśmy przez szosę i wędrowaliśmy dalej. Po licznych przygotowaniach dotarliśmy gdzieś koło 22 września do Włodzimierza Wołyńskiego. Zdzielśmy już oznaki na naramiennikach, a broń schowaliśmy pod płaszcz, upodabniając się do mas żołnierzy, powracających do domu. Od przedmieść widać już było ślady walki. Leżały w rowach zniszczone 75-ki, działa pochodzące zapewne z podchorążówki, widać było jakieś zburzone zasieki. Po mieście kręcili się krasnoarmiejcy.

Wśród ludności krążyły wieści, że nasze wojska wciąż się jeszcze bronią, że walki trwają, że Kowel jest nadal w naszych rękach. Byliśmy bardzo zmęczeni i niewyspani. Postanowiliśmy iść na dworzec. Na torach stał pusty pociąg towarowy z parowozem. Doszedłem do wniosku, że przespimy się w którymś wagonie, a jeśli pociąg odjedzie, to zbliży nas może do Kowla albo do Lwowa i do walczących jednostek. Spaliśmy parę godzin. Kiedy się obudziłem pociąg stał nadal, ale zobaczyłem, że jest otoczony żołnierzami radzieckimi z karabinami maszynowymi. Po chwili pojawiła się ogromna kolumna polskich oficerów prowadzonych pod strażą, których zaczęto ładować do wagonów. Nas zapelił się 40 czy 50 oficerami. Nas strażnicy nie zauważyli. Okazało się, że pociąg był przeznaczony dla jeńców, a my staliśmy się jeńcami-ochotnikami.

Po paru godzinach zaczęła się podróż. Jesć nam nie dawano, ale na stacjach wchodzili krasnoarmiejcy i zapewniali, że zostaniemy wypuszczeni „na slednjuszczej stancji”, i że wcale nie jesteście jeńcami, choć z pociągu wychodzić nie wolno. Pociąg stawał na długie godziny. Jakies uzbrojone grupki wchodziły co pewien czas i rewidowały jeńców. Naszą broń dawno wyrzuciliśmy przez okienka. U mnie znaleziono w chlebaku karty do gry, które wciąż miałem ze sobą. „U nas eto strogo wospreszczeno” powiedzieli i karty wyrzucili przez drzwi. Potem krasnoarmiejec wyciągnął mi z kieszeni wieczne pióro i ołówek. Obejrzał oba i zapytał uprzejmie: „Kotoryj chcesz?”. Po namyśle zostawiłem sobie ołówek. Pióro zabrał rewidujący na pamiętkę.

Czas płynął. Minęliśmy Łuck, Kowel i skręciliśmy na wschód. Przejechaliśmy Równe. Strażnicy siedzieli w budkach na zewnątrz wagonów. Czasem, kiedy pociąg zatrzymywał się w polu, wypuszczano pod straż więźniów z kilku wagonów na pobocze. Były okazy do rozmów. Z daleka widziałem generała Smorawinskiego, ale z nim nie rozmawiałem. Moim kolegom-jeńcom zacząłem mówić, że trzeba korzystać ze sposobności i uciekać. Reakcją była ciekawa: uznano mnie za prowokatora — „Polski oficer nie ucieka!”. „Nawet z niewoli?” zapytałem. Powiedziano mi, że nie jesteście jeńcami, a tylko czasowo internowani, przecież zapowiedziano nam, że zostaniemy wypuszczeni w najbliższej większej miejscowości.

Cóż było robić. Zamilkłem, ale moich podoficerów i paru innych, którzy trafili do wagonu wraz z oficerami, namówilem do ucieczki. Wyskakiwali, gdy pociąg zwalniał lub zatrzymywał się. Tylko za jednym padło parę strzałów, zresztą zupełnie bezskutecznych. W wagonie z mego oddziału zostałem już tylko ja i inż. Czarliński.

Pociąg zbliżał się niebezpiecznie do naszej dawnej granicy. Minęliśmy Sławutę. Następną większą stacją była już tylko Szeplówka na granicy. Doszedłem do wniosku, że najwyższy czas opuścić pociąg. Gdzieś o świcie wyskoczyliśmy obaj z Czarlińskim, a pociąg pojechał dalej do Kozielecka. Jak wiadomo był to pierwszy etap tych oficerów ku swojemu straszemu losowi w Katyniu. W ten sposób z jeńca-ochotnika stałem się uciekinierem.

Odbiegliśmy, a potem pomaszerowaliśmy, byle dalej od pociągu i od torów. Po paru godzinach siedliśmy w lesie na naradę.

Był to chyba ostatni lub przedostatni dzień września. Nie wiedzieliśmy nic, nie uświadomialiśmy sobie, że cała Polska Wschodnia jest w rękach radzieckich, i że ten „przymusowy sojusznik” jest po prostu drugim wrogiem. Pomimo większej odległości, postanowiliśmy wędrować do Wilna, a nie do Lwowa. Było ono bliżej neutralnej Litwy, a poza tym Czariński miał tam przyjaciół — państwa Suchanków, przedstawicieli jego firmy na województwa wschodnie.

Zaczęliśmy więc wędrowkę, przeważnie pieszo, bo pociągów baliliśmy się już jak ognia. Gdzieś jednak w Zdobunowie zobaczyliśmy odjeżdżający na północ pociąg i zaryzykowaliśmy podróż, ale dla bezpieczeństwa tylko na stopniach, bo do wnętrza baliliśmy się wchodzić. Było już zimno, ale tak przejechalśmy ze sto kilometrów. Dobrnaliśmy jakoś do Wilna. Był chyba 8 czy 10 października. Państwo Suchankowie przyjęli nas jak rodzinę. Pomimo trudności i ryzyka zaczęli nas dokarmiać, znaleźli łożka, a kąpiel w łazience była codzienną rozkoszą.

Wilno było już od paru tygodni „oswobodzone” przez Armię Czerwoną. Napisałem do rodziców i zacząłem otrzymywać listy. Związek Radziecki był przecież sojusznikiem Niemiec i korespondencja była swobodna. Nie odnosiło się to do ludzi, bo przejęcia graniczne były pilnie strzeżone z obu stron — zresztą nie zawsze skutecznie.

Dostałem dziwną pocztówkę z Bydgoszczy, która już wówczas była wcielona do Reichu. Kartka była bez podpisu, napisana po niemiecku. Autor uprzedzał mnie, abym nie wracał do Bydgoszczy. Nie wybierałem się tam zresztą, ale myślałem, że było to ostrzeżenie od Henniga. Jak potem stwierdziłem — byłem poszukiwany przez gestapo za „defraudację” dokumentów, pieniędzy i samochodu fabrycznego.

W Wilnie pod okupacją sowiecką życie toczyło się początkowo jeszcze prawie normalnie. Poszukiwano ukrywających się oficerów, więc żeby nie narażać państwa Suchanków najpierw zamieszkałem prywatnie, a potem w domu akademickim. Zdobyłem również zaświadczenie, że jestem asystentem wolontariuszem Uniwersytetu Stefana Batorego. W akademiku szczęśliwie uniknąłem rewizji, która z niewiadomego powodu zatrzymała się nie dochodząc do mojego pokoju.

Chodziłem dość dziwnie ubrany. Mój płaszcz żołnierski

przefarbowałem na brązowo, na trzewikach zamalowałem błyszczące nity, a z podszew powyrywałem gwoździe. Używany kapelusz cywilny kupiłem za 2 złote na targu, a co najważniejsze, spotkany kolega Adam Kaszuba ofiarował mi swój stary nieprzemakalnik, który nakładałem na płaszcz, wypuszczając na zewnątrz tylko jego brązowy kołnierz.

Rozeszły się pogłoski, że Wilno zostanie ofiarowane przez Związek Radziecki Litwinom. Rzeczywiście, gdzieś w listopadzie wkroczyły do miasta oddziały litewskie i język litewski stał się nagle językiem urzędowym. Na poczcie i w urzędach toczyły się dziwne rozmowy pomiędzy urzędnikami, którzy nauczyli się z konieczności kilku niezbędnych słów po litewsku, i klientami, którzy nawet tych paru słów nie znali.

Wystarałem się o przepustkę do Kowna. Znałem tam dyrektora elektrowni — pana Langego, honorowego konsula belgijskiego i któregoś ranka pojechałem pociągiem do Kowna. Nie umiałem ani słowa po litewsku, miałem niepewne dokumenty, a ponadto nigdy nie byłem w Kownie. Był świt i tegi mróz. Wyszędłem przed dworzec. Chciałem się dowiedzieć jak trafić do elektrowni. Przed dworcem stał brodaty staruszek i wolno zamiał śnieg. Uchyliłem grzecznie mego dwuzłotowego kapelusza i zapytałem: „czy Pan mówi po polsku?”. Dziadek machnął jeszcze dwa razy miotłą i popatrzył na mnie. Pomyślałem, że zaraz pójdzie po policjanta. Tymczasem po chwili dziadek powiedział: „A po jakimś ja mam mówić?”. To była piękna ilustracja świadcząca o sytuacji na Litwie.

W Kownie zostałem gościnnie przyjęty. Litwa była neutralna i bogata. Polaków teoretycznie internowano, ale działało przedstawicielstwo Orbisu i biuro polskie przy konsulacie francuskim, czy może angielskim, które ułatwiało wyjazd do wojska na Zachód.

Napisałem do znajomych Anglików z dawnego mego biura i do Szwedów z AGA. Trochę pieniędzy pożyczył mi Adam Kaszuba, za mało to jednak było na bilet do Francji. Namawiano mnie na zostanie na Litwie, proponując pracę i działalność konspiracyjną. Było dla mnie oczywiste, że w istniejącej sytuacji niepodległość Litwy ma się ku końcowi. Ze spokojem słuchałem więc docinków o naiwności polskiej, która doprowadziła nas do utraty wolności, ponieważ nie wątpiłem, że i Litwę spotka niedługo podobny los. Tymczasem ze Szwecji nadeszły pieniądze.

W Orbisie zamówiłem bilet na statek „Estonia”, odpływający z Rygi do Szwecji gdzieś w końcu grudnia. Razem ze mną bilety kupowały dziesiątki Polaków, którzy według posiadanych dokumentów liczyli bądź mniej niż 18 lat, bądź więcej niż 50, ponieważ na żądanie konsulatu niemieckiego tylko tacy mogli opuszczać Litwę. Nabywcy biletów byli jednak na pewno pełnoletni i daleko im było do siwizny. Zastanowiłem się, że „Estonia” nie może w nieskończoność pływać bezkarnie wzdłuż wybrzeży niemieckich z takimi podróżnymi. Mój bilet sprzedałem i kupiłem bilet na samolot Ryga — Sztokholm, bo na dalszą trasę nie starczyło mi już pieniędzy. Wyjechałem pociągiem do Rygi, chyba tuż przed Nowym Rokiem, skąd bez przeszkód doleciałem do Sztokholmu. „Estonię” zatrzymali Niemcy, a pasażerowie ukończyli podróż w obozie jenieckim w Królewcu. Jeszcze raz mi się upieкло.

W Sztokholmie spotkałem się z członkami rady moich Zakładów Bydgoskich i przekazałem im wiadomość o sytuacji w fabryce. Myśle, że jako neutralni mieli wszelkie możliwości zabezpieczenia swoich wkładów i nic nie stracili. Pieniądze, które posiadałem wystarczyły mi jeszcze na samolot do Hagi, a stamtąd pojechałem już pociągiem do Paryża. Tam zaczął się następny rozdział przygód.

Kampania francuska

W pierwszych dniach stycznia 1940 roku wylądowałem na Gare du Nord w Paryżu. Moje zasoby finansowe już się kończyły, ale starczyło mi jeszcze na metro i na zainstalowanie się w hoteliku w dzielnicy łacińskiej na rue Racine, który znalazłem jeszcze z czasów studenckich.

Wiedziałem, że sztab generała Sikorskiego rezyduje w zarekwirowanym na czas wojny luksusowym hotelu „Régina”, tuż przy pałacu Tuileryjskim. Wybrałem się tam nazajutrz. Była to już wielka organizacja. W hotelu roilo się od oficerów różnych stopni i wieku, ale przeważnie starszych i stopniem i wiekiem.

Jakaż była moja radość, kiedy jednym z pierwszych spotkanych był mój brat stryjeczny Jerzy Podoski, kapitan dyplomowany. Zabrał mnie od razu do swego hoteliku, położonego tuż obok „Réginy”, w którym mieszkał ze swoją żoną Jadwigą i tam opowiedział mi jak trafili oboje do Francji.

Jerzy, o kilka lat starszy ode mnie, odbył kampanię wojenną lat 1919/20, a potem został w wojsku jako oficer zawodowy. Ukończył Wyższą Szkołę Wojenną i wyglądało, że zrobi karierę wojskową. Jego zamiłowaniem była stara broń, a sportem — strzelectwo. W którymś roku zdobył z polską drużyną złoty medal olimpijski w strzelaniu.

W początku lat trzydziestych Jerzy nabawił się gruźlicy, być może w wyniku odrzutów karabinu, z którego wystrzeliwał po 100 ładunków dziennie. Była to w owym czasie choroba nieuleczalna, ale można ją było powstrzymać odma płuc i długotrwałą kuracją